

Inkwizytor
Autor tekstu: **Marek Bończak**

Poznaliśmy się zupełnie przypadkowo.

Pewnego jesiennego popołudnia wracałem do domu z treningu. Padał zimny deszcz, wiatr zaciął z ukosa, czyniąc mój parasol zupełnie bezużytecznym. Choć uwielbiałem jesień, tym razem byłem daleki od rozkoszowania się widokiem ponurych, ciężkich chmur i kaskady złotych liści zdanych na łaskę kapryśnego wiatru. Dostałem kolejną pałę z matmy i trener powiedział, że jeśli się nie poprawię, będzie musiał wylać mnie z drużyny. „Według twojego wychowawcy boks wybija mózg z głowy — powiedział. - Twierdzi, że im więcej boksujesz, tym gorzej się uczysz. Musisz udowodnić, że to kupa bzdur albo będę zmuszony usunąć cię z drużyny”. Byłem zły na wychowawcę za jego głupotę; nienawidziłem trenera za jego tchórzostwo. Boks był dla mnie wszystkim: pomagał mi przetrzymać piekło domu, w którym rządziła pijaczka — tyranka. Co będzie, jeśli nie uda mi się poprawić na trzy? Nikogo nie obchodziło, że dobrze boksowałem a matematyki po prostu nie potrafiłem zrozumieć. Zaszary świat...

Skręciłem w uliczkę wiodącą do bloku, w którym mieszkałem, gdy usłyszałem jęk. Zatrzymałem się i rozejrzałem uważnie. Głos dochodził z za na wpół rozwalonego śmietnika. Ostrożnie zrobiłem kilka kroków i zobaczyłem dwóch nie znanych mi chłopaków, znęcających się nad trzecim, dużo młodszym.

Zatrzymałem się. Moje serce zaczęło bić szybciej.

Jeden z napastników kopnął ofiarę w brzuch.

Może dzieciakowi pomóc?

Drugi, wyższy, poprawił kopniakiem w biodro.

To nie moja sprawa.

Niższy kopnął chłopca w nerki, zmuszając go do przeraźliwego krzyku.

Zabiją go.

- Skop mu mordę! — Krzyknął niższy.

Podbiegłem. Wyższego uderzyłem z całej siły w tył głowy. Upadł bez jęku na twarz. Niższy zdążył przyjąć postawę obronną. Jego błękitne oczy płonęły nienawiścią. Zrobiłem zwód a on dał się nabrać. Prawy sierpowy trafił go w szczękę. Na ringu zawsze marzyłem o takim ciosie. Usłyszałem trzask pękającej kości. Bandyta osunął się na chodnik, niczym marionetka nagle pozbawiona sznurków. Zdziwiła mnie własna siła.

Widok powalonych przeciwników sprawił mi przyjemność. Jednocześnie poczułem niedosyt. Żałowałem, że wszystko poszło tak łatwo. Chciałem walczyć, zadawać ból, widzieć lęk w oczach pokonanych wrogów!

Strząsnąłem z siebie te myśli, jak pies, który wynurzał się w kałuży brudnej wody. Przyklęknąłem przy pobitym chłopcu. Był żywy, choć stracił przytomność. Zadałem o to, by nie zadławił się wymiotami i krwią, która obficie płynęła z jego uchylonych ust, po czym pobiegłem po pomoc.

Lekarze powiedzieli, że prawdopodobnie uratowałem mu życie.

Ja wiedziałem o tym z pewnością. Pomimo to, długie miesiące nękały mnie wyrzuty sumienia. Moja początkowa opieszałość mogła kosztować chłopaka życie. Był to jeden z wielu powodów, dla których pokochałem go jak brata.

*

Piotrek szybko powracał do zdrowia.

Trzy tygodnie od owego feralnego wieczoru jego matka zadzwoniła do mnie z zaproszeniem.

- Piotrek czeka na ciebie — powiedziała. — Przyjedź do nas na obiad.

Kupiłem wedlowską bombonierkę i pojechałem.

Jego rodzice byli zamożni. Mieszkali we własnym, jednorodziennym domku w dzielnicy bogaczy, zwanej „Złodziejowicami”. Ojciec, inżynier, pracował w wielkiej firmie budowlanej. Matka była lekarzem.

Wszedłem do dużego pokoju, którego pomalowane niebieską farbą ściany zdobiły dziesiątki folderów z czasopism samochodowych. Żadnych zespołów rockowych, czy

murzyńskich gwiazd koszykówki — tylko samochody. Kilka nawet rozpoznałem: Volkswagen Golf, Ferrari, BMW...

W łóżku — dwa razy większym od mojej pryczy — leżał Piotrek. W świetle stojącej na biurku nocnej lampki prezentował się całkiem nieźle. Opuchlizna zeszała z jego szczupłej twarzy. Jedyne ciemne plamy — pozostałości po ogromnych sińcach na policzkach i skroni — przypominały, że otarł się o śmierć. Jakimś cudem jego cienkie, blade wargi pozostały nietknięte.

- Cześć — powiedziałem niepewny jego reakcji.

Uśmiechnął się. W brązowych, nakrapianych złotem tęczówkach igrały psotne ogniki. Oto człowiek, który poznał kruchą wartość życia - pomyślałem. Ucieszyłem się, że to właśnie mnie przypadł zaszczyt uratowania tych ogników przed definitywnym black-outem. Życie jest wartością najwyższą, nienaruszalną, świętą. Nagle z mojego serca ustąpił żal do trenera za usunięcie mnie z drużyny. Patrząc na chude, poobijane ciało Piotrka uświadomiłem sobie absurdalność sportów opartych na brutalności i zadawaniu bólu. Duch wojownika opuścił mnie i wcale nie było mi z tego powodu przykro. Życie — westchnąłem w myślach — cudowne życie...

Przywołał mnie gestem drżącej z wysiłku ręki.

Podszedłem do łóżka i usiadłem na niskim stołku. Pachniało szpitalem i świeżą, krochmaloną pościelą. Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło, aż łzy stanęły mi w oczach. Piotr ujął mnie za prawą dłoń i przyłożył ją do swego policzka, który był rozpalony i delikatny jak owinięty w jedwab termofor.

- Dziękuję — szepnął.

- Zawsze będę cię bronił.

*

Na drugim roku studiów poczułem powołanie. Kilka miesięcy później wstąpiłem do Seminarium, a po sześciu latach nauki przyjąłem święcenia kapłańskie.

Zaczęło się niewinnie. Coraz bardziej podobała mi się atmosfera kościoła, do którego chodziłem co niedziela, by sprawić przyjemność swojej dziewczynie. Coraz mniejszą przyjemność za to sprawiał mi seks z Iwoną i analiza „Dialogów” Platona, które przerabialiśmy na ćwiczeniach. Wreszcie przyszedł czas, gdy uznawałem za stracony dzień, w którym nie mogłem uczestniczyć we mszy świętej. Comiesięczna spowiedź postawiła mnie w sytuacji głębokiej rozterki moralnej. Nie mogłem czcić Boga i Mamony. Zaproponowałem Iwonie życie w czystości aż do ślubu. Po tygodniu odeszła. Znajomy ksiądz przekonał mnie, że to ewidentny znak bożej woli. Uczyłem się coraz gorzej, modliłem coraz częściej. Przeczytałem dwa razy całą Biblię, zaliczyłem rekolekcje ignacjańskie i powołaniowe u franciszkanów, dominikanów oraz werbistów. Zakochałem się w Bogu i jak pochodnia olimpijska zapłonąłem pragnieniem wstąpienia na jego służbę. Nie było w tym zbyt wiele egzaltacji; była stanowczość i wytrwałość w wędrówce jego ścieżkami.

Piotr przyjął moją decyzję z radością. Nie dlatego, że głęboko wierzył. Wystarczyło mu pięć minut rozmowy. Wiedział, iż znalazłem swą drogę do szczęścia.

Przez sześć lat odwiedzał mnie w Seminarium, dzieląc się swymi sukcesami i porażkami.

- Wiesz co? — powiedział mi któregoś razu. — To pranie mózgu nieźle ci robi. Nigdy nie czułem twej bliskości tak mocno, jak podczas tych wizyt.

Bóg mnie zmieniał.

W przeddzień święceń diakonatu Piotr przyprowadził na spotkanie wysoką, bardzo ładną blondynkę o szczerym, skromnym spojrzeniu.

- To Ewa — rzekł. — Moja narzeczona.

Czekali ze ślubem cały rok. Dwa wesela w odstępie tygodnia. To był najpiękniejszy okres w moim życiu.

*

- Chodź popływać! — Ewa machała do mnie zachęcająco. Stała zanurzona do pasa w ciepłej wodzie jeziora. Od jego drgającej powierzchni, niczym od miliona okruchów szkła, odbijały się promienie popołudniowego słońca.

Odłożyłem brewiarz i zdjąłem okulary.

Żona przyjaciela wyglądała jak Wenus, wylaniająca się z morskich otchłani. Szczęściarz — pomyślałem. — Ma piękną, mądrą towarzyszkę życia, satysfakcjonującą pracę i kupę forsy. Zbyt wielu nieszczęśników spotykałem codziennie w mojej duszpasterskiej posłudze, by nie docenić szczęścia, które spotkało przyjaciela. Dzięki ci, Boże! Opiekuj się nimi.

Podszedłem do molo, przy którym się kąpała.

- Nie lubię wody — rzekłem.

Nie nalegała. To właśnie podobało mi się w niej i Piotrze. Wiedzieli, kiedy ustąpić, by nie urazić drugiej osoby. Ja naprawdę nienawidziłem wody. Kilkanaście lat temu, podczas kąpieli w rzece, otarłem się o przepływające zwłoki topielca. Jego nadęta, pozbawiona oczu twarz czasami pojawia się w moich snach. Błade usta uchylają się w grymasie bezgranicznego cierpienia, wymiotując gęstą cieczą w kolorze krzepnącej krwi. Nagle rzeka, pełna obrzydliwego śluzu wydalonego z gnijącego ciała topielca, wzbiera i wylewa się ze swego łoża. Ja usiłuję uciec, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Brnę przerażony ku brzegowi, który z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej odległy, nieosiągalny. Woda podnosi się szybko. Już po chwili sięga mi piersi, ramion, szyi. Wówczas słyszę, jak ktoś wypowiada moje imię.

„Tomku”.

Wiem, że wypowiada je topielec.

Odwracam się.

Rozpoznaję twarz ojca, który uśmiecha się mściwie.

Zaczynam krzyczeć i w tym momencie obrzydliwa ciecz wypełnia mi usta. Przełykam ją odruchowo, czuję jej niepowtarzalny smak — to krew. I to nie byle jaka. To krew mojej matki.

Smakuje znakomicie...

- Jezu, ratuj! — Szepnąłem usiłując uwolnić się od okropnego wspomnienia. — Jestem twoim kapłanem, powiernikiem twoich tajemnic. Dlaczego te koszmary niszczą moją duszę?

Pierwszy raz przeżywałem swój koszmar w biały dzień.

- Wszystko w porządku? — zaniepokoiła się Ewa.

- Tak.

Ze wszystkich sił modliłem się, by moja odpowiedź okazała się prawdą.

A jeśli nie?

*

Siedzieliśmy we dwójkę przy okrągłym stole. Piotrek doglądał smażących się na grillu ostatnich kiełbasek.

Zmierzch przyniósł umęczonej przyrodzie nieco ochłody. Znad jeziora wiał lekki wietrzyk. Żaby i świerszcze przystąpiły do codziennego konkursu na najgłośniejsze wykonanie letniej uwertury. Ewa zapaliła świece.

- Dobrze mi z wami — wyznałem.

- A nam dobrze z tobą — odpowiedział Piotr. — Nawet, jeśli te wakacje spędzamy inaczej niż zwykle.

- Przecież jesteśmy nad jeziorem — zaprotestowałem.

- To prawda. Jednak nie ma tu wygod, jakie miałeś w Mikołajkach.

Nalałem sobie wina, wstałem od stołu i podszedłem do ścianki drewnianej werandy. Spojrzałem na wody jeziora, które marszczyły się pod wpływem zbyt szorstkich pieścot coraz silniejszego wiatru.

- Do diabła z wygodami — powiedziałem. — To jest twój dom, Piotrze. Dom twoich przodków. Wszystko, co w nim jest, mówi o twojej tożsamości, bazującej na historii twojego rodu. Choć przyjaźnimy się od wielu lat, nigdy tu nie byłem. Mam gdzieś hotel i jego wygody. Ostatecznie jestem księdzem, a dla nas zbytek to grzech. Widocznie Pan Bóg chciał, byśmy spędzili wakacje w domku zbudowanym przez Twego pradiada.

- Masz rację — wtrąciła Ewa. — Nie można uciec przeznaczeniu.

- I tak minął dzień pierwszy. I Bóg widział, że to, co stworzył było dobre — zażartował Piotr, gasząc rozżarzone węgielki grilla wodą z butelki.

- Czy wiesz, że za te słowa w średniowieczu zostałbyś surowo ukarany. Może nawet zabity — przekomarzałem się z nim.

- Och, nie! — Udał przerażenie. — Ojczy Inkwizytorze, ja nie chciałem!

- Za późno bezbożniku. Oto ogień, oto topór — chwyciłem za siekierkę, leżącą przy grillu na drewnianej podłodze altany, po czym ruszyłem za nim w pogoń.

- Ewo, żono moja, ratuj! — śmiał się Piotr, uciekając wokół stołu.

Ewa chwyciła leżącą na stole białą serwetkę. Podbiegła do męża i zarzuciła mu ją na głowę.

- Mój ci on jest, mój! — krzyknęła cienkim głosikiem Danuśki z „Krzyżaków”.

Opuściłem oręż i usiadłem na swoim miejscu. Wszyscy troje zanosiliśmy się dzikim

śmiechem, aż rozbolały nas brzuchy.

Kochałem ich. Boże, jak bardzo ich kochałem! Byli dla mnie prawdziwą rodziną, której nigdy nie miałem. Pobity do nieprzytomności chłopczyk, którego uratowałem od śmierci, wyrósł na potentata przemysłu samochodowego, lecz uczucie przyjaźni, które nas łączyło, pozostało tak samo silne i szalone jak wówczas. Byłem gotów oddać za niego życie i wiedziałem, że on nie pożałowałby mi swojego. Jego małżeństwo z Ewą niczego nie zmieniło. Po prostu Pan Bóg obdarzył mnie siostrą.

Posprzątaaliśmy po kolacji. Oni wyszli przed dom, tuląc się do siebie i chichocząc jak nastolatki. Ja poszedłem do siebie z brewiarzem w rękę.

Zajmowałem niewielki pokój o ścianach wyłożonych boazerią i niskim suficie, z którego zwisał smętnie staroświecki żyrandol. Jedyne okienko wyglądało na tafłę jeziora pokrytą srebrnym gobelinem księżycowej poświaty. Uchyliłem je, pozwalając chłodnemu powiewowi mazurskiej nocy rozgościć się w mojej sypialni.

Wyposażenie pokoju było bardzo skromne, co mi odpowiadało. Stanowiło je małżeńskie łóżko przykryte czerwoną kapą, niewielki stolik z nocną lampką przytwierdzoną do niego gwoździem, drewniana dwudrzwiowa szafa i jedno krzesło. Naprzeciw łóżka, obok szafy, wisiało oprawione w ciemne, drewniane ramy zdjęcie dużego formatu, przedstawiające popiersie kilkuletniego chłopca.

Usiadłem na krześle i otworzyłem brewiarz.

-*"Boże, wejrzyj ku wspomnieniu memu! Panie, pośpiesz ku ratunkowi memu!"* — przeżegnałem się w rytm wypowiedzianych słów.

Nie czułem się zagrożony. Nie potrzebowałem ratunku. Otaczali mnie kochający ludzie; opiekowała się mną Matka Kościół. Jako kapłan błagałem o pomoc w imię tych, którzy gdzieś w świecie doznawali ucisku, byli gwałceni, zabijani, tracili wiarę, umierali nie pojednawszy się z Bogiem. Byłem ich adwokatem, ich ostatnią deską ratunku. Z woli bożej moja modlitwa posiadała ogromną moc, dlatego podchodziłem do niej odpowiedzialnie. Kościół, który się modli przez swych kapłanów, jest mistycznym ciałem Zbawiciela. Ja jestem zbawicielem...

Skończyłem modlitwę i położyłem się na łóżku. Materac był zbyt twardy, jak na mój gust. Zlekceważyłem tę małą niewygodę i zamknąwszy oczy pogrążyłem się w pozbawionej myśli i wyobrażeń relaksującej pustce.

Coś zmusiło mnie do otwarcia oczu. Spojrzałem na zdjęcie, wiszące na przeciwległej ścianie. Kilkuletni chłopczyk, którego popiersie zostało uwiecznione na czarno- białym zdjęciu, był bardzo ładny. Gęste blond włosy niesfornymi lokami okalały delikatną buzię o regularnych rysach barokowego cherubinka. Szyja i drobne ramiona były odsłonięte, jakby chłopca rozebrano do pasa dla zrobienia zdjęcia. Potęgowało to wrażenie niezmiernie piękna dziecka.

Mimo to coś w tym zdjęciu raziło, wzbudzając głęboki niepokój. Potrzebowałem kilku sekund, by domyślić się źródła negatywnych wrażeń. Postać chłopca znajdowała się w jasnym owalu, resztę przestrzeni zamkniętej drewnianymi ramkami wypełniała czerni.

Fotografia została wykonana w stylu używanym do zdjęć nagrobkowych!

Drobne usta dziecka wyrażały ledwie wyczuwalną drwinę. Pogrążone w cieniu oczy spoglądały surowo.

„Też mi odkrycie”- zdawał się mówić chłopiec. „Oczywiście, że jestem trupem. Ty też nim będziesz”.

Jezus jest Zmartwychwstaniem i Życiem. Kto w niego wierzy, ten będzie żył na wieki, odpowiedziałem.

„Trele morele. Perskie bajki w judeo-chrześcijańskim wydaniu. Się żyje, a potem się gnije”.

Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen, gówniarzu. AMEN!!!

Co ja robię?! Przeraziłem się. Każdy ksiądz, wcześniej czy później, przechodzi kryzys wiary. Ale żeby rozmawiać z obrazem?! Przypomniałem sobie epizod sprzed kilku godzin. Czyżby to był początek choroby?

Poczułem mdłości i zerwałem się z łóżka.

Nie jestem wariatem, powtarzałem sobie. Nie jestem wariatem! To przez ten cholerny upał. Może nawet doznałem udaru słonecznego... We wrześniu miałem otrzymać własną parafię. Wreszcie, po siedmiu latach służenia innym kapłanom miałem szansę stanąć na swoim. Jeżeli trafię do szpitala, wszystko się przedłuży. A co będzie, jeśli stwierdzą chorobę psychiczną? Koniec z marzeniami o probostwie. Skończę jako rezydent, wieczny tułacz. W

Kościele nie ma sentymentów. Liczą się układy i siła przebiccia. Nawet jeśli biskup da mi drugą szansę, będę czekać na nią długie lata.

Uklęknąłem, opierając się o łóżko. Z kieszeni spodni wyciągnąłem różaniec, prezent od Piotra. Przeżegnałem się pośpiesznie i rozpocząłem modlitwę. Recytując kolejne dziesiątki *Pozdrowienia Anielskiego*, błagałem Matkę Jezusa o ratunek i opiekę. Panika ustępowała powoli, jak ból chorego zęba po zażyciu Panadolu. Pod koniec różańca zasnąłem.

*

Obudziłem się tuż przed dziewiątą obolały i zmęczony niewygodną pozycją. Obmyłem twarz w malutkiej łazience, przylegającej do mojej sypialni i szedłem na śniadanie.

Skąpiana w porannym słońcu kuchnia pachniała smażonym boczkiem i dobrą kawą. Piotr siedział przy stole, zajadając się jajecznicą. Ewa wlewała do podróżnego termosu kawę z ekspresu.

- Muszę jechać na kilka dni do Warszawy — powiedziała. - Dzwonili ze szpitala. Pacjentka, którą operowałam, miała w nocy atak.

Pokiwałem głową na znak, że przyjąłem wiadomość. Podobne sytuacje nie podlegały dyskusji.

- Szczęśliwej podróży — odpowiedziałem.

- Dziękuję. — Ewa pocałowała Piotra w policzek i pomachała do mnie na pożegnanie. — Trzymajcie się chłopaki. I pamiętajcie: żadnych orgii. To porządny dom.

Wyszła z domu. Po chwili usłyszeliśmy warkot silnika jej BMW.

Zostaliśmy sami.

Nalałem sobie kawy. Nie miałem ochoty na nic więcej. Przyjaciel popatrzył ze zdziwieniem na mój pusty talerz.

- Nie jestem głodny — wyjaśniłem.

- Coś się stało?

- Nie, nic — skłamałem.

Piotr odstawił swój talerz do zlewu.

- To co planujemy na dziś? — Zapytał. — Oto niepowtarzalna szansa dla dwóch facetów w średnim wieku na przygodę pachnącą perwersją.

- Mów za siebie, staruchu. Ja jestem jeszcze księżulkiem z mlekiem pod nosem.

- Już niedługo. Wieść niesie, że szykują dla ciebie niezłą parafijkę.

- Obyś okazał się zwiastunem dobrej nowiny, bracie Piotrze. Duch Święty często przemawia ustami bogobojnych starców.

Piotr zrobił obrażoną minę.

- Błogodojnych starców? Toż ja nie jestem biskupem, ojciec Tomaszu. Ja doję biskupów, lubujących się w luksusowych autach!

Roześmiałem się z jego żartu.

- Czuję, że nie skorzystam z okazji do daleko posuniętej rozpusty — wróciłem do tematu. — Jak powiada Pan Jezus: „Duch ochoczy, ale ciało mdłe”. Zamierzam pobyczyć się na leżance z piwem w ręku.

- No to do dzieła! — krzyknął Piotrek otwierając drzwi. - Panie i sutannowi przodem.

- Najpierw ministranci, potem celebrans — odparowałem. - Zresztą, idź sam. Ja muszę odmówić jutrznię. Dołączę do ciebie za kilka minut.

Z niechęcią pomyślałem o powrocie do dusznego pokoju i mieszkającego w nim zmarłego chłopca.

Służba nie drużba, jęknąłem w duchu i wyszedłem z kuchni.

*

- Czyja fotografia wisi w moim pokoju? — zapytałem Piotrka, gdy prażyliśmy się nad brzegiem jeziora.

- Jaka?

- No, ta wielka, przedstawiająca kilkuletniego chłopca.

- To Ferdynand, bliźniaczy brat mojego pradziadka. Miał trzy lata, kiedy zmarł na zapalenie płuc.

A jednak miałem rację. Dzieciak został sfotografowany tuż przed śmiercią.

- Opowiedz mi coś o nim.

Piotr usiadł. Nie wydawał mi się zachwycony moją prośbą. Nagle pożałowałem, że

poruszyłem ten temat.

- Jeśli nie chcesz...

- Nie, w porządku. Żaden problem. W mojej rodzinie dzieci są szczególnie pożądane i kochane. Są one uważane za znak bożego błogosławieństwa. Od pokoleń dbamy o ich zdrowie i wychowanie, starając się stworzyć im, na kilkanaście pierwszych lat życia, prawdziwy raj na ziemi. Dzięki temu nasza rodzina była zawsze zjednoczona i silna w każdych okolicznościach. Niestety nawet największa miłość jest bezradna wobec chorób, na które nie ma lekarstwa. Ferdynand, ukochany brat mojego pradziadka, był pierwszym i jak dotąd jedynym członkiem naszej rodziny, który zmarł jako dziecko.

Zrozumiałem swój nietakt i rumieniec wstydu rozlał się niczym wrzątek na mojej twarzy. Choć minęło kilka lat od ich ślubu, Piotr i Ewa nie mogli mieć dzieci. Teraz, z powodu mojej ciekawości, przyjaciel rozgrzebywał swe rany, które nigdy nie miały się zbliznić.

- Jest taka legenda — kontynuował, — że gdy Ferdynand umarł, Szymon, jego ojciec, pochował go w ogrodzie. Na jego grobie zasadził dąb. W swoje czterdzieste urodziny pradziadek ściął potężne drzewo, które żywiło się ciałem jego brata i zbudował z niego ten dom. Ilekroć w nim przebywamy, czujemy bliskość Ferdynanda, który chroni nas przed nieszczęściami. Z drugiej strony, dzieciak nie czuje się samotnie dwa metry pod ziemią, bo my dotrzymujemy mu towarzystwa. Romantyczne, nieprawdaż?

- Czyli on nas teraz słyszy? - Ciarki przebiegły mi po plecach na tę myśl.

Się żyje, a potem się gnije, powiedział wczoraj dzieciak z fotografii.

- Nie wiem, czy słyszy. Z całą pewnością widzi. Czy nie zwróciłeś uwagi, że w każdym pomieszczeniu tego domu znajduje się wizerunek Ferdynanda?

- Nie.

- To jego dom, Tomku. Ciało zamieszkane przez nieśmiertelną duszę kilkuletniego dziecka.

*

Dzień upłynął nam, zgodnie z planem, na leniuchowaniu. Na obiad zjedliśmy pozbawioną smaku pizzę podgrzaną w mikrofalówce. Na kolację wypiliśmy po trzy piwa — na więcej nie mieliśmy ochoty.

Mimo że rozmawialiśmy praktycznie bez przerwy, moje myśli krążyły wokół usłyszonej rankiem opowieści. Gdyby nie doświadczenia ostatniej doby, legenda o domu nawiedzonym przez trzylatka byłaby dla mnie śmieszna. Jednak nie potrafiłem zbagatelizować wyrazistości wizji znad mola, a tym mniej zapomnieć wrażenia, że rozmawiałem w myślach z istotą, z której emanowało zło. Trzyletnie dziecko nie może być złe, chyba że jest opętane, tłumaczyłem sobie. W historii opowiedzianej przez Piotra nic na to nie wskazuje. Przeciwnie, jest ona pełna miłości i cierpienia z powodu utraty dziecka.

Jednak głęboko w podświadomości wołałem mieć do czynienia ze złym duchem, gdyż byłby to dowód, że nie jestem chory psychicznie.

Około dziesiątej pożegnałem Piotra i poszedłem do siebie. Zapaliłem światło, otworzyłem okno i zabrałem się za liturgię godzin. Przez cały czas uważałem, by nie spoglądać na zdjęcie Ferdynanda. Odmawiając psalmy wyobraziłem sobie, że dziecko na zdjęciu uśmiecha się pogardliwie, szczerząc wilcze kły. Jego ciemne oczy nabrzmiewają czerwienią, gorące, krwawe łyzy ściekają po policzkach, a gdy już dotykają cienkich warg, pomiędzy nich wyłania się rozwidlony, wężowy język i zlizuje łapczywie szkarłatne krople, w nagłym przypływie pragnienia...

- *Z głębokości wołam do Ciebie, Panie. Panie, nachyl ucha na głos mojego błagania!* — Recytowałem, czepiając się słów psalmu jak ostatniej deski ratunku. Boże, uwolnij mnie od tego strachu! Boże, ocal mnie od szaleństwa! Matko Jezusa, ratuj!

„Spójrz na mnie”.

Co?

„No, spójrz!”

Posłusznie podniosłem głowę i spojrzałem na fotografię. Pięcioletnie dziecko uśmiechało się do mnie z czułością.

Uspokój się! — rozkazałem sobie. - Trzydziestotrzyletni mężczyzna nie powinien zachowywać się jak gówniarz po obejrzeniu „Drakuli”. Co w ciebie wstąpiło?!

Odłożyłem brewiarz nie dokończywszy modlitwy. Przez kolejne kilka minut maltretowałem się najwymyślniejszymi wyzwiskami. Wreszcie z wolna panika ustąpiła miejsca gniewowi rodzącemu się z upokorzenia.

Podniosłem głowę, spojrzałem na zdjęcie i uśmiechnąłem się zjadliwie.

- Co tu, kurwa, jest grane? — zapytałem szeptem. — Jakież duchy, trupy i Bóg wie co jeszcze nie zrobią ze mnie świra. Ten świat jest w rękach opatrności, której służę. Jestem zasranym rycerzem Jedi, walczącym po właściwej stronie mocy. Nie muszę się bać dzieciaka, którego duszyczka gra w nogę z aniołami na niebieskich pastwiskach.

Wstałem z krzesła i podszedłem do fotografii. Ukryte w cieniu oczy dziecka znajdowały się mniej więcej na wysokości moich.

- Nie odpowiadasz? — szydziłem. — Ferdynandzie, do ciebie mówię. Odpowiedz albo odpieprz się ode mnie raz na zawsze!

Czułem się dużo lepiej. Gniew zadziałał jak najlepsze lekarstwo. Szczypta wulgarności poprawiła jego smak. Z zażenowaniem pomyślałem o niedawnych atakach paniki. Wyobraziłem sobie łysogo psychiatrę z obowiązkową, długą brodą, bez wąsów, rozmawiającego z koleżanką po fachu, w której się podkochiwał bez wzajemności. „Wiesz, Zofio (moim zdaniem to było właściwe imię dla pani doktor od wariatów), mam do czynienia z wyjątkowo interesującym przypadkiem neurozy. Pewien ksiądz przeżywa ataki lęku na widok zdjęcia kilkuletniego dziecka. Wyobraża on sobie, że z fotografii emanuje czyste zło, którego źródłem jest sam Szatan”. Zofia odpowiada, mieszając w brzydkim, poobijanym kubku herbatę, którą przed chwilą posłodziła jedną łyżeczką cukru: „Ależ Zbigniewie (nienawidzę tego imienia!), to doskonały materiał na artykuł w którymś z czasopism medycznych...”

- Nie dam się — mruknąłem.

Położyłem się na łóżku i utkwilem wzrok w znenawidzonej fotografii. Po raz pierwszy w życiu doznałem ataku paniki o tak wielkim natężeniu. Moje serce biło przyspieszonym rytmem, pot lepił się do rozgrzanego ciała niczym obrzydliwy kombinezon. Powietrze smakowało jak popiół z wygaszonego ogniska.

Usiłowałem zebrać myśli. Pomysł, że kilkuletnie dziecko mogło być opętane, został wykorzystany całkiem nieźle w „Egzorcyście”. Żyjący obraz opisał Oskar Wilde w „Portrecie Doriana Graya”. To były dzieła ludzkiej fantazji. Nie uważałem za stosowne płodzić trzeciego: jakiejś hollywoodzkiej mieszanki ich obu. Chłopczyk zmarł na zapalenie płuc wiele lat temu. Jego sugestywny wizerunek oddziałuje na moją podświadomość, prowokując stany lękowe. Koniec, kropka. A przecież jako ksiądz byłem przyzwyczajony do obcowania ze śmiercią we wszystkich jej fazach: od agonii do pogrzebu i okolicznościowych mszy za zmarłych.

Choć ze wszystkich sił starałem się racjonalizować swoje doznania, nie potrafiłem uwolnić się od uczucia zła, emanującego ze zdjęcia. Wypełniało ono atmosferę pokoju niczym spaliny samochodowe — nie sposób było oddychać, by nie poczuć jego duszącej obecności.

To nieprawda, powtarzałem sobie. To nieprawda.

Nagle przyszło mi do głowy rozwiązanie tak proste, że aż się roześmiałem. Skoro fotografia dziecka jest katalizatorem moich lęków, to dlaczego, do cholery, nie usunę jej z pokoju? Nieważne, że będzie to swego rodzaju porażka. Postawię to gównem w innym, odległym pomieszczeniu i po sprawie.

Wstałem z łóżka i ponownie zbliżyłem się do zdjęcia. Mały Ferdynand spoglądał na mnie wyzywająco.

„Nie odważysz się”.

A właśnie, że tak.

Stanowczym gestem ująłem drewniane ramy i szarpnąłem je ku sobie.

To, co się stało w ciągu kolejnych kilku sekund nieomal mnie zabiło.

Portret nawet nie drgnął i zrozumiałem, że jest na stałe przytwierdzony do ściany. W tej samej chwili mój umysł wypełniły krwawe obrazy.

Wysoki, odziany w ciemną szatę mężczyzna zaciska w dłoni topór o szerokim ostrzu...

Kilkuletni chłopczyk leży nago na kamiennym bloku. Jego rozłożone szeroko ręce i nogi są przywiązane do metalowych obręczy, znajdujących się w czterech rogach tego prymitywnego ołtarza...

Z przerażeniem poznaję ofiarę — to Ferdynand!

Dziecko jest czymś odurzone: uśmiecha się głupkowato do swego kata. Jego usta szepczą słowa, które zagłusza monotony, ponury zaśpiew, wypełniający swą złowrobną melodią ciemny loch...

Niczym w transie przyglądam się ustom Ferdynanda. Usiłuję zrozumieć, co mówi. Wydaje mi się to z jakiegoś powodu niezwykle ważne. Oprawca jest coraz bliżej. Nachyla się lekko nad

dzieckiem i przemawia do niego. Chłopiec uśmiecha się i odpowiada. Wreszcie udaje mi się zrozumieć jedno słowo...

Tatusiu...

Śpiew milknie. Zakapturzony mężczyzna podnosi topór wysoko nad głowę. Słyszę świst metalu przecinającego powietrze. Ostrze zagłębia się w ciało dziecka, rozcinając je od czubka głowy po przepoń.

Morderca wydobywa topór z drgającego ciała ofiary. Ostrze unosi się ponownie rozsiewając kropelki krwi i kawałki mózgu niczym upiorna kropielnica.

Kolejny cios rozcina Ferdynanda na dwie połowy. Czyjeś ręce chwytają sznury i odsuwają od siebie obie części maleńkich zwłok na kilkadziesiąt centymetrów.

Powietrze wypełnia zapach krwi i ekskrementów.

Oprawca wdrapuje się na ołtarz między nóżkami zabitego chłopca. Jego dłonie, kolana i stopy taplają się w krzepnącej krwi. Mężczyzna, klęcząc, wyciąga ręce w błagalnym geście przywołania do kogoś niewidocznego po drugiej stronie ołtarza.

Mrok w tamtym miejscu gęstnieje, przybierając homoidalną formę.

Niewidzialny chór podejmuje swój ponury zaśpiew wzbogacony o nutę triumfu.

Nagle pochodnie gasną i loch pograża się w całkowitej ciemności.

Posępna pieśń urywa się w pół tonu.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszę, jest mlaskanie, towarzyszące pośpiesznej uczcie...

Wizja dobiegła końca. Wypuściłem z rąk przeklętą fotografię i cofnąłem się o krok. Drżałem cały jak podczas ostatecznego ataku malarii. Sceny rytualnej zbrodni, które nawiedziły mój umysł, jeszcze tam były z całą swoją potwornością. Jednak moje przerażenie budził nie tyle widok rozpołowionych zwłok, ile raczej owa tajemnicza postać, która wyłoniła się z mroku.

To Szatan, pomyślałem. Władca piekła. Upadły anioł. Kłamca i zabójca. Ojciec wszelkiego zła.

To, co widziałem, było rytmem przymierza. Zbrodniczą parodią ofiary, złożonej przez Abrahama Bogu. Patriarcha, jak głosi Biblia, rozciął na dwoje zwierzęta ofiarne, a następnie przeszedł między nimi. Spotkał wówczas Pana, który złożył obietnicę, że jego liczne potomstwo zaludni ziemię obiecaną.

Wyjąłem z plecaka kieszonkowe wydanie Biblii Tysiąclecia, z którym nigdy się nie rozstawałem. Z łatwością odnalazłem Księgę Rodzaju, rozdział 15, werset 9:

"Wtedy Pan rzekł: <<Wybierz dla mnie trzyletnią jałowicę, trzyletnią kozę i trzyletniego barana, a nadto synogarlicę i gołębicę>>. Wybrawszy to wszystko, Abraham poprzerał je wzdłuż na połowy i przerażane części ułożył jedną naprzeciw drugiej (...) A kiedy słońce zaszło i nastał mrok nieprzenikniony, ukazał się dym jakby wydobywający się z pieca i ogień niby gorejąca pochodnia i przesunęły się między tymi połowami zwierząt. Wtedy to właśnie Pan zawarł przymierze z Abrahamem..."

W rytuale, którego byłem biernym uczestnikiem, ojciec Ferdynanda posunął się dalej i dokonał to, czego Abrahamowi nie było dane - złożył ofiarę ze swego synka dla przywołania Lucyfera.

Wreszcie zrozumiałem związek, łączący fotografię Ferdynanda z moimi ostatnimi doświadczeniami. Dziecko stało się własnością Szatana, jego kontaktem ze światem realnym, z jego wyznawcami.

- Bądź przeklęty! — Krzyknąłem. Niczym kamieniem rzuciłem Biblią w portret.

Pomimo znacznej siły, jaką włożyłem w rzut, tom odbił się od szyby pokrywającej zdjęcie nie czyniąc jej żadnej szkody, jakby była kamiennym murem.

- Cholera. — Mruknąłem rozczarowany, podnosząc brewiarz z ziemi. Trafiłem Ferdynanda w prawe oko i przez chwilę miałem idiotyczną nadzieję, że mu je wybiłem.

Gdzieś za oknem rozległ się żaloszny krzyk rozbudzonego ptaka. >>>

Marek Bończak

Były ksiądz; poglądy niezgodne z doktryną Kościoła skłoniły go do rezygnacji z kapłaństwa.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 11-01-2004)

Oryginał. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3183>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl